

Moje fizymatenta

Kazimierz Kutz



Andrzej

Umarł w niedzielę wieczorem i przez cały poniedziałek w TVN odbywał się festiwal ku jego pamięci. Cała plejada jego aktorów, aktorów wybitnych, ci, co grali w jego filmach główne role, składali mu hołd. I zalew fragmentów jego filmów i fragmentów filmów o nim. Dawno nie było takiego widowiska w mediach bez polityków i kłamców.

Ja, ostatni żyjący członek ekipy Wajdy z „Pokolenia” i „Kanału”, jego dwóch pierwszych filmów, w których urodziła się „polska szkoła filmowa”, żegnałem się z nim. Krytycy uważają „Kanał” za początek tej „szkoły”. Byłem przy tym filmie jego prawą ręką. Film uzyskał Srebrną Palmę na festiwalu w Cannes i po ogłosie - dziesięć lat wcześniej - filmów Aleksandra Forda („Ulica graniczna”) i Wandy Jakubowskiej („Ostatni etap”) nazwisko Andrzeja Wajdy weszło na stałe go europejskiego obiegu. Cannes, Wenecja i Berlin to stałe przystanki jego długiej podróży zawodowej. Nawet teraz, kiedy już go nie ma, jego ostatni film - czterdziesty! - będzie startował do Oscara w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny”.

Nie potrafił żyć bez kręcenia filmów i ścigał się po wszystkich ważnych festiwalach. Stał się kolekcjonerem nagród. Był w naszym kinie jak dzisiejszy Lewandowski w piłce nożnej: narodowym idolem, który tworzył międzynarodowy prestiż polskiego kina i rodzimej literatury. Stał się autentycznym liderem środowiska. Dlatego wspieraliśmy go, gdy był w tarapatkach, bo nas integrował i sposobił do walki z aparatem partyjnym.

Daję przykład. Pod koniec lat sześćdziesiątych Andrzeja zniosło w stronę „kina moralnego niepokoju” i przyniósł na festiwal - jak na niego - słaby film. Byłem jurorem z ramienia SFP, obok Stanisława Wohla i dwóch starszych kolegów (nazwisk nie wymienię, choć nie żyją) z legitymacjami partyjnymi w kieszeniach. Po drugiej stronie było dwóch dziennikarzy, siepaczy partyjnych, w guście dzisiejszego Ziemiakowicza. Na szefa jury zaproszono Ernesta Brylla, był neutralny, ale bardzo starał się na stałe wejść do środowiska filmowego. I miał dwa głosy. Było więc 4:2 i dwa rozstrzygające głosy przewodniczącego jury [Bryll kilka lat po mnie przejął zespół Silesja]. Poufnie dowiedzieliśmy się, że w KC zapadła uchwała, by za wszelką cenę nie dopuścić do przyznania Grand Prix Andrzejowi Wajdzie. Wszystko było więc w rękach Brylla, ale nie wiedzieliśmy, czy mu czegoś nie obiecano.

Kiedy doszło do mojej świadomości, co się święci, spojrzałem na Wohla, a on na mnie. Mówię mu szeptem: „Panie Stanisławie, nie możemy przegrać tej bitwy”. „Nie możemy, panie Kazimierzu”. Po godzinie ideologicznego wodolejstwa zażądaliśmy przerwy i zaprosiliśmy kolegów (jeden był reżyserem, drugi operatorem) na rozmowę, by przemówić im do sumień. Siedzieli przygnębieni i bąkali coś o poleceniu partyjnym. Nie przeszli na naszą stronę. I zaczęła się walka na całego, nasi przeciwnicy straszili nas, donosili jakieś głupoty na Wajdę.

Kiedy wyczerpały się argumenty ogólniejsze, przeszliśmy na język prześmiewczy. Uruchomiłem swój zasób ludowych porzekadeł, czas mijał i pojawiły się pierwsze oznaki zmęczenia. Nasi koledzy siedzieli osowiali, a Ernest rozłożył się wygodnie w fotelu, pykał fajkę i uśmiechał głupkowato. Gdy szykowałem się do walki wręcz, wszedł dyrektor festiwalu i naszeptał coś Bryllowi do ucha. Przerwało obrady na godzinę. Dowiedzieliśmy się, że przyjechali jacyś towarzysze wyższego szcze-

bla z Warszawy, by porozmawiać z Ernestem Bryllem. Prawdopodobnie usiłowali go złamać albo przekupić.

Pan Stanisław rozłożył się na fotelach, a ja ległem na dywanie i próbowałem się zdrzemnąć. Sprawa była poważna. Stanisław Wohl walczył o honor starego Żyda-Polaka przed zejściem ze świata, a ja o honor podgrzybka z Szopienic. Umówiliśmy się z Wohlem, że będziemy partyjniaków beczelnie obrażać, jako przedstawicieli materii ożywionej. Ledwo ruszyliśmy do ataku, Bryll wkroczył w toczący się spór i oświadczył, że ma uzgodnioną kompromisową propozycję: proponuje, by przyznać dwie główne nagrody: Andrzejowi Wajdzie i Stanisławowi Różewiczowi (który miał legitymację partyjną w kieszeni). Zgodziliśmy się. W głosowaniu Ernest Bryll stanął po naszej stronie, co oznaczało wsparcie środowiska pisarzy. Wtedy wszystko miało szerszy kontekst polityczny.



Jego artystyczną doktryną była narodowa literatura i plastyka. Pokazywał okrucieństwo historii i głupotę niedojrzałych elit, które zaprzepaściły Polskę. Nie opowiadał „ku pokrzepieniu serc”, ale by uczyć refleksyjnego myślenia w dzisiejszych czasach

Andrzej już nic nie musi. Był urodzonym kontynuatorem klasyki sztuki narodowej, zawartej w słowie i obrazie. Mickiewicz, Żeromski, Wyspiański czy Iwaszkiewicz to jego koledzy. Podobnie jak Matejko, Gieryski czy Reymont. Szukał inspiracji u wielkich, był od nich uzależniony i sam stawał się wielkim polskim filmowcem, propagatorem polskiej kultury, którą przerabiał na swoje kino. Uwielbiał dawną, szlachecką Polskę, jej narastający upadek, ale nigdy nie był nacjonalistą. Kochał urodę narodowych klęsk, bo miały one - jak każde zło - epicki swing i niesamowitą urodę. Prosiły się o kamerę. O Andrzeja Wajdę; ale u niego Goya był na równi z Matejką, a Iwaszkiewicz z Wróblewskim.

Jego artystyczną doktryną była narodowa literatura i plastyka. Pokazywał okrucieństwo historii - Samosierry czy Powstania Warszawskiego - i głupotę niedojrzałych elit, które zaprzepaściły Polskę. Nie opowiadał „ku pokrzepieniu serc”, ale by uczyć refleksyjnego myślenia w czasach dzisiejszych. Miał kompleks wieszczcy i takim się czuł.

Wiele mu zawdzięczam. Nie wiem jakim cudem zaprosił mnie (jeszcze studenta) do „Pokolenia” i „Kanału”. Widocznie nadawałem się. Poniękąd był najważniejszym człowiekiem w moim życiu. Otworzył mi drzwi do zawodu. Bo już w dziesięć lat od pójścia do Szkoły Filmowej mogłem przyjechać ze swoim pierwszym filmem do Szopienic. Na projekcji matka płakała, ojciec spał, a wszystkie szopenioki wstrzymywały oddech. A ja myślałem o Andrzeju. ●